EPOKA

TYGODNIK

ROK II | Warszawa, 16 lipca 1933 R. | NR. 29 (42)

Kulisy „Paktu 4-ch“

Droga ratunku

Bezgraniczny tupet

Strajk dzieci

Szkoła o. Pirożyńskiego

Wydarzenia i dokumenty. Przegląd polityczny. Odgłosy. Najnowsze książki. Teatr.

AUTORZY: Orosius. Zielińska. Dunin-Borkowski. Hochberg. Niedźwiedziński. Czarnowski. Szpecht. Wasowski. Cękalski.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

PO ŚWIĘCIE MORZA

Przebieg „Święta Morza" — po za schematem uroczystości oficjalnych — świadczy, że w najszerszych warstwach społeczeństwa naszego żywo i głęboko odczuwana jest wielka sprawa pozycji Polski na morzu. Czego dokonać może zapał, energja i wiara w lepszą przyszłość, najlepszym, prawdziwie budującym przykładem są dzieje Gdyni, zaiste oślniewające w swem tempie i rozmachu.

„Święto Morza" było manifestacją szczerą i pożyteczną. Jedną z uroczystości najbardziej podniosłych było wmurowanie tablicy na latarni morskiej w Rozewiu z napisem:

„Ku czci niezapomnianego piewcy Bałtyku, który w mrokach narodowej nocy wskazywał drogi do Niepodległości, a w Wolnej Polsce budził miłość do morza—źródła wielkości i potęgi państwa—na wieczną rzeczy pamiątkę latarnię tę, na wniosek Bernarda Chrzanowskiego, przyjęty przez Radę Główną Ligi Morskiej i Kolonjalnej, decyzją Rządu Rzeczypospolitej w dniu „Święta Morza" 29 czerwca 1933 r. nazwano latarnią im. Stefana Żeromskiego".

WSPÓŁCZESNY DIOGENES

Budapeszteńskie pismo *Pesti Naplo* zamieściło reportaż, znamienny dla stosunków i nędzy, jaka panuje w Europie Środkowej. Tytuł reportażu, który poniżej streszczamy, brzmi „Współczesny Diogenes w śmietniku":

„Dziesiąta godzina wieczorem. Gdy przechodziłem koło szpitala Rokus, zwróciła moją uwagę brunatna skrzynia do śmieci. Zdawało mi się, że słyszę ludzki głos, a raczej chrapanie. Dźwięk wyraźnie dochodził ze skrzyni. Podniosłem klapę. Ujrzałem we wnętrzu przerażoną twarz. W głębi skrzyni, na posłaniu z żółtego piachu, leżał człowiek. Prosi: „Niech mnie Pan nie krzywdzi". Poczęstowałem go papierosem. Chciwie zapalił, wyszedł ze skrzyni i zgodził się na rozmowę. „Co Pan robi w tej skrzyni?" Cierpki grymas skrzywił jego twarz: „To moje mieszkanie. Mieszkam tu od 20-go roku życia. Obecnie liczę 22". W krótkich, urywanych zdaniach opowiedział o matce — posługaczce, która umarła, gdy miał trzy lata. Z zawodu jest ślusarzem, od kilku lat — bezrobotnym. Jest chory, dokucza mu stale noga. Leżał długo w szpitalu. „Jak wpadł Pan na pomysł zamieszkania w skrzyni?" Wskazał na szpital „Przed dwoma laty, spędzałem dni i noce w łóżku, które stało blisko okna. Wybrałem wówczas to mieszkanie. Często spostrzegali mnie policjanci, lecz mam papiery w porządku". Wyciąga z kieszeni papierowy portfel i dobywa świadectwo urodzenia: „Policja nie dokucza. Lecz od pewnego czasu wysypują skrzynię piaskiem. Jest mi zimno".

Ofiaruję mu drugiego papierosa. Wyciąga pudełko zapałek. Mówi — tonem wyjaśnienia: „Nie, nie kupiłem. Znalazłem przed dwoma dniami". „Czy je Pan w jadłodajni dla bezrobotnych?" „Rzadko. Nie chcą dać zupy, bo nie mogę podać adresu". Spoglądam na jego łachmany. „Od dwóch lat nie noszę bielizny. Nie mam również butów. Całe moje bogactwo — to te spodnie, bluza, stara laska, gdyż chodzę z trudem i to pudełko zapałek". „Co Pan robi w ciągu dnia?" — „Łazikuję. Szukam. Myślę".

Nasza rozmowa skończona. Juljan Szabo, współczesny Diogenes, życzy mi dobrej nocy, podnosi pokrywę i znika w skrzyni.

OD AKADEMJI DO KUCHNI

Futuryści włoscy, z Marinettim na czele, nie zadawalają się działalnością w dziedzinie sztuki. Przeprowadzili niedawno hałaśliwą kampanję o... kapelusz futurystyczny, następnie krucjatę przeciw makaronowi. Obecnie, w następstwie uchwał, zapadłych na kongresie medjolańskim, Marinetti tworzy nową estetykę... kulinarną. Podczas dyskusyj kongresowych dowiedziono, że befsztyk jest „potrawą przedpotopową", a szereg innych dań — „przeżytkiem historycznym". Kucharz powinien być jednocześnie — rzeźbiarzem, malarzem, muzykiem i architektem. „Barwa i kształt są równie ważne, jak smak jedzenia. Każde danie wymaga odmiennej formy, oryginalnej i w miarę możności dostosowanej do osoby gościa. Kucharz powinien uwzględniać przy obiedzie wiek, płeć, budowę fizyczną i właściwości duchowe każdego z gości".

Menu futurystyczne obejmuje m. in. obiad astronomiczny oraz obiad rytmiczny, zupę zoologiczną, deser intuicyjny. Dla zakochanych proponuje danie pod nazwą „Tak cię będę kochał" dla sportowców — „elastyczne ciastka", dla niezgodnego małżeństwa — „jajko rozwiedzionych", przepołowione i pozbawione odżywczego żółtka.

Na kongresie medjolańskim tekst menu był następujący: „Plastyka jadalna, modelowana przez Prampoliniego, Taparelliego i Fillisa. — Gloryfikacja kuchni futurystycznej w obecności Jego Ekscelencji Marinettiego". Oto niektóre dania: „Intermedjum powietrzno — węchowe; meteory odżywcze, synteza astralna, kolekcja smaków, napój róż i słońca, niespodzianka wonnobarwna etc..."

Szybki i hałaśliwy marsz Marinettiego od akademji do kuchni dowodzi wszechstronności jego wyobraźni i... mimowolnego humoru.

FASZYZM JAPOŃSKI

Ruch faszystowski w Japonji został zorganizowany formalnie zaledwie przed siedmioma miesiącami. Propaganda żółtych faszystów operuje demagogicznem hasłem „narodowego przebudzenia".

Agitację faszystowską, naszpikowaną frazeologją reformatorską i obietnicami bez konkretnego pokrycia, ułatwia obecny system rządów i zacofany układ stosunków społecznych. Antagonizm między warstwami posiadającemi a zdeklasowaną rzeszą nędzarzy przewyższa analogiczne przeciwieństwa państw Zachodu. Robotnicy japońscy pracują i żyją w warunkach, które należą do dawnej już przeszłości robotniczej klasy państw europejskich.

Żółty faszyzm głosi hasło „misji azjatyckiej", której celem jest oczyszczenie kultury Azji z wszelkich naleciałości zachodnich. „Misja" ta jest w istocie pseudo - ideowem uzasadnieniem i odskocznią dla planów imperjalistycznych.

„Führerem" ruchu jest Adatchi, który dąży do ścisłej współpracy z japońskim militaryzmem. Koła wojskowe, posiadające decydujący obecnie wpływ

na ster rządów, chętnem okiem patrzą na ruch faszystowski. Program jego przejęła całkowicie młoda generacja zawodowych militarystów, kierowana przez ministra wojny Araki.

Szczególnie podatny grunt pod siew swych haseł znalazł faszyzm na wsi japońskiej. Struktura rolnictwa przypomina jeszcze czasy feodalne. Obok magnatów i posiadaczy olbrzymich latyfundjów wegetują szerokie rzesze chłopów — nędzarzy, dla których już sama idea jakiejkolwiek zmiany stanowi obietnicę poprawy.

Żółty faszyzm — na podobieństwo czarnego i brunatnego — atakuje oczywiście system rządów parlamentarnych i domaga się w imię „dobra narodowego i ponadpartyjnego" — rządu silnej ręki.

PRZECIW CORRIDZIE

W korespondencji z Hiszpanji (*Gazeta Polska* nr. 180) Kazimierz Wierzyński opisuje potworne sceny podczas „walki byków" w Madrycie i tak kończy:

„Matador dostaje za tę rzeźnię pięć albo dziesięć tysięcy peset, jutrzejsze pisma przyniosą najdokładniejszy opis „walki", kawiarnie ustalą czy byk był bitnym i ambitnym przeciwnikiem, a tysiące Hiszpanów zacznie się kłócić o każdy powiew mulety.

Tak będzie jutro, tak było wczoraj, tak jest już sto, dwieście, trzysta lat. Okrutny obyczaj wrósł głęboko w codzienność odczuwań i potrzeb, wyżłobił sobie łożyska uprawnień i rozwoju, odprowadza niemi odpływy nieuchwytnych instynktów i żądz.

Siła jego ma swych orędowników i wrogów. Montherlant znalazł w niej mistyczny obraz krwawej ofiary składanej bóstwu, rząd republiki walczy z areną, lecz nie może jej zwyciężyć.

Wielkie równiny andaluzyjskie prowadzą troskliwy chów pięknych zwierząt, rozwija się zeń cały przemysł, cały system gospodarczy hodowli, transportu i sprzedaży.

Mitologja walk przechowuje imiona bohaterskich matadorów, którzy kładą 200 byków w sezonie i sławi bohaterskie rogi byków, na których ginie pięć koni w ciągu spotkania, zanim chłodna szpada nie dotrze w okolice rozjuszonego serca.

Heroizm ten ma entuzjastów nawet wśród dobrych ludzi, którzy z ręki karmią żółwie.

Gdzie są opozycjoniści?

Proszę mnie wpisać na ich listę".

WINCENTY DRABIK

Zgon ś. p. Wincentego Drabika, znakomitego artysty, wielką przyniósł stratę sztuce polskiej.

Któż nie podziwiał olśniewających dzieł Drabika w dekoracji teatralnej? W dziedzinie tej — mistrz nieporównany — zachwycał nas wspaniałą, przebogatą wyobraźnią, śmiałą inwencją, najwyszukańczym smakiem artystycznym. Podniósł przez to poziom dekoracji na nieznane przedtem wyżyny. Publiczność teatralna najgoręcej oceniała dzieło Wincentego Drabika, to też zgon jego zasmucił nietylko polski świat artystyczny, ale i całą, kulturalną część społeczeństwa.

Wincenty Drabik był też człowiekiem szlachetnego serca.

Cześć Jego pamięci!

KOMENTARZ DO PAKTU CZTERECH

Kiedy Sowiety kupują w Niemczech maszyny, płacą za nie wekslami 18-to i 24-miesięcznemi. Ponieważ Niemcy nie posiadają dość wielkich oszczędności, i ewolucja wewnętrzna ich reżimu politycznego nie sprzyja w ostatnich latach kapitalizacji, przemysłowcy niemieccy nie mogą trzymać weksli sowieckich w swych portfelach, ani też nie mogą zdyskontować ich u siebie w kraju. W ten sposób zmuszeni są do dyskontowania ich zagranicą w bankach państw bogatych, wykonywujących rolę t. z. bankierów świata. Bez pomocy tych ostatnich handel zagraniczny Sowietów zmniejszyłby się znacznie lub nawet uległ dłuższej przerwie. Ponieważ Sowiety nie cieszą się na tym świecie dobrą sławą, dyskonto ich weskli kosztuje bardzo drogo. Przemysłowiec sprzedaje nieraz weksle sowieckie za 65 — 70% ich wartości. Możemy sobie łatwo wyobrazić, ile na tej złej sławie Sowietów i ubóstwie ich dostawców zarabiają bankierzy. Z każdorocznej sumy zakupów sowieckich zagranicą pewien odsetek wędrował w postaci czystego zysku do banków mocarstw bogatych, pobierających w ten sposób haracz od handlu między państwami biedniejszemi. Ponieważ w tych państwach biedniejszych naogół przemysł posiada bardzo mocną sytuację w stosunku do reszty ludności, w rezultacie haracz na rzecz państw bogatych płacą, wraz z nieszczęśliwym mużykiem rosyjskim, robotnicy i wszyscy wogóle konsumenci.

Ta sytuacja objaśnia dziwny stosunek mocarstw zachodnich do Sowietów. Ponieważ Sowiety kupują także maszyny służące do rozbudowy ich przemysłu wojennego, bankierzy finansujący te zakupy muszą liczyć się również z faktem, że Sowiety mogą kiedyś zrobić użytek ze swej broni. Dlatego mocarstwa, finansujące zbrojenia sowieckie muszą dbać także o to, aby w całym świecie utrzymywał się stosowny nastrój antisowiecki. Popieranie przez mocarstwa bogate reakcji politycznej w Niemczech, o którem pisaliśmy poprzednio (nr. 19-ty *Epoki*), było także próbą stworzenia barjery, gwarantującej im bezkarność zyskownego finansowania komunizmu zbrojnego.

Handel sowiecki jest zresztą tylko jednem z wielu źródeł zysków, ciągnionych przez bankierów świata z krajów biedniejszych. Każdy reżim polityczny, nie mający zaufania obywateli i powodujący przez to zubożenie kraju, staje się źródłem dodatkowych zysków wielkich banków. Gdzie tylko pojawił się nowy dyktator, którego poddani wywożą pieniądze zagranicę lub chowają je w złotych monetach do garnków, tam można zgóry przewidzieć, że prędzej czy później skarb państwa będzie musiał wypuścić bony skarbowe, czy inne zobowiązania, które tą czy

inną drogą przyjdą do dyskonta do bankierów świata. Dlatego oczy bankierów patrzą z życzliwością na rzeszę surowych władców i dyktatorów świata powojennego. Takiem okiem gospodarny pasterz ogląda swą trzodę, o której wie, że na każdem nowem jagnięciu urośnie dlań niedługo wełna procentów, prowizyj i bonusów.

Przewrót hitlerowski w Niemczech powitany był burzą protestu i obrzydzenia całej opinji Zachodu. Zdawało się, że ostrzej, niż kiedykolwiek, świat podzielił się na dwie części, na stare demokracje strzegące lepszych tradycyj XIX w. i kraje barbarzyńskie, otoczone kordonem sanitarnym, który tym razem został przesunięty, aż poza granicę niemiecką.

Przeciwstawność tych dwóch światów niewątpliwie istnieje. Jeżeli chcemy jednak rozumieć bieg wypadków, trzeba brać także pod uwagę, że oba te światy dopełniają się harmonijnie w cichych, ozdobnych ciężkim przepychem gabinetach wielkich bankierów. Hitler może zmusić wszystkich Niemców do bezwzględnego posłuszeństwa, ale nie może ich zmusić do prosperowania i do wiary w przyszłość. Brak wiary i zaufania zmniejszy zasoby pieniężne Niemiec, które odtąd od każdej operacji finansowej, zewnętrznej czy wewnętrznej, będą musiały opłacać procenty bankierom świata. Im gorsza będzie ich sława, tem wyższe będą procenty.

Widziany od tej strony, przewrót hitlerowski nie naruszył harmonji czy równowagi świata powojennego, polegającej na dziwnej symbiozie związanych ze sobą państw biednych i bogatych.

Pakt Czterech, podpisany wśród najsilniejszych nastrojów antihitlerowskich, nie jest wybrykiem polityków, ale wyrazem naszkicowanej wyżej rzeczywistości, której prasa zachodnia, posłuszna bankom, nie ma zwyczaju dyskutować przed publicznością.

Opisany tu system nie jest, być może, przeznaczony do wiecznego trwania. Obciążając nadmiernie konsumentów świata, pogłębia on depresję ekonomiczną i chaos polityczny. Stąd obudził pewną nieufność nawet w krajach, ciągnących zeń największe zyski.

Pewne kroki, mogące przyprowadzić do rewizji systemu, zostały zrobione w Stanach Zjednoczonych, gdzie najgłośniejsi finansiści świata stanęli przed komisją śledczą, która rozpoznała w nich wulgarnych oszustów. Znaczenia wypadków amerykańskich dla Europy nie należy jednak przeceniać. Ten sam system w Europie jest starszy, pracuje sprawniej i w potrzebie okaże większą siłę oporu. Od rewizji jego dzieli nas jeszcze pewna ilość czasu.

Orosius

DROGA RATUNKU

„Epoka" jest pismem tak ciekawem, poważnem, tak wszechstronnie informuje czytelników, że chciałabym, żeby na jej łamach poruszone było również jedno z najtragiczniejszych bodaj zagadnień czasów dzisiejszych: sprawa matek i dzieci nieślubnych.

Zwróciło to moją uwagę, że problemat ten nie znalazł sobie wogóle dotychczas prawa obywatelstwa w publicystyce polskiej. Boy raz jeden poruszył ten temat — jeszcze w „Kurjerze Porannym" — i na tem w prasie, tak zwanej burżuazyjnej, koniec. Kiedyś zajmowała się tem zagadnieniem prasa socjalistyczna; w 1928 — 1930 ukazywał się w „Robotniku" dodatek pod tytułem „Matka i Dziecko", redagowany przez panią Janinę Ryngmanową; tam — muszę to socjalistom szczerze przyznać, choć ich jaknajenergiczniej zwalczam — sprawa matek i dzieci nieślubnych była niemal w każdym numerze obszernie omawiana i to z ogromną dozą odwagi cywilnej; lecz dodatek ten przestał potem, nagle i nieoczekiwanie, wychodzić i od tej pory również i w prasie socjalistycznej o tem zagadnieniu zupełnie głucho.

Tymczasem sprawa ta domaga się, zdaniem mojem, nagwałt, by ją poruszano i oświetlano na szpaltach pism, mających poczucie odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń. Wszak w Polsce — jak wskazuje Rocznik Statystyczny Rzeczypospolitej Polskiej — ilość nieślubnych żywych urodzeń wynosi rocznie koło 60.000, co stanowi około 6% ogółu urodzeń żywych; przyczem w miastach większych, mających ponad 25.000 mieszkańców, na 100 urodzeń żywych wogóle, mamy aż 12 nieślubnych. Stało się już nieomal truizmem powiedzenie, że z dzieci nieślubnych — o ile ich nieszczęsna matka nie zgładzi — idą w świat wykolejeńcy, ludzie chorzy na duchu i ciele, a matki nieślubne — o ile nie kończą samobójstwem — zapełniają kadry prostytucji. Więc chyba i ze względu na swą liczebność i ze względu na tragizm przyczyn i konsekwencji — zagadnienie domaga się, by o niem opinję publiczną informowano, by nad jego rozwiązaniem radzono. Tymczasem nic się w tej dziedzinie ani w teorji rozważań, ani w praktyce poczynań nie robi. Naprzykład, stworzono już wiele poradni profilaktyczno-terapeutycznych: dla alkoholików, dla gruźlików, dla jaglicznych, dla zapobiegania chorobom wenerycznym, dla akcji świadomego macierzyństwa; nie pomyślano jednak o tem dotąd, by stworzyć bodaj jedną na terenie całej Polski poradnię dla nieślubnych matek. Poradnie takie istnieją już zagranicą. W Niemczech przedhitlerowskich istniała — w wykonaniu rozporządzeń do ustawy „Jugendwohlfahrtsgesetz" z 1924 roku — gęsta sieć takich poradni, funkcjonujących przy każdym urzędzie do spraw młodzieży „Jugendamt", a rozsianych po całem terytorjum Rzeszy, w miastach i po wsiach.

Jak zaś sprawa powołania do życia takich poradni jest nagląca i niezbędna i ile dobrego może taka poradnia zrobić, przytoczę na dowód tylko jeden przykład z mego własnego doświadczenia.

Było to trzy lata temu. Pewnej nocy został cały nasz dom zbudzony niesłychaną wrzawą. To „pani domu" na I-em piętrze wyrzucała służącą; poprzez otwarte do sieni drzwi kuchenne leciały stamtąd

najordynarniejsze wymysły, wylatywały — jak kamienie z procy — poszczególne łachmanki nieszczęśliwej dziewczyny, która bezradna, skamieniała z trwogi, kuliła się w rogu klatki schodowej. Co się okazało? 15-letnia służąca zaszła w ciążę. A gdy w ostatnich już tygodniach sprawa nie dała się dłużej przed chlebodawczynią ukryć i stan dziewczyny został przez „panią" odkryty (notabene w czasie nieoczekiwanej inspekcji nocą łazienki, w której po 18-togodzinnym dniu pracy kąpała się służąca), wówczas „pani domu" w najświętszem oburzeniu, nie mogąc czegoś podobnego tolerować pod swym bogobojnym dachem, wyrzuciła „z miejsca", na łeb, na szyję, o 1-ej w nocy, owo dziecko, noszące już w swem łonie drugie malusieńkie dzieciątko. Dziewczynina z tobołkiem swych rzeczy tułała się przez dni parę po tym domu, śpiąc na schodach, w miejscu ustępowem, w bramie, w piwnicach, przepędzana zewsząd najbrutalniej przez stróża, bita, napastowana. Wówczas to przyszło mi na myśl skierować dziewczynę do „Robotnika" do pani Ryngmanowej. Pomysł ten okazał się w skutkach tak zbawienny, że dziewczyna, którą często jako ekspedjentkę w sklepie spotykam, dziękuje mi dotąd za każdym razem ze łzami w oczach. P. Ryngmanowa— muszę to znów szczerze przyznać, choć wolałabym nie być zmuszoną do chwalenia socjalistki — zajęła się nieszczęsnem dziewczątkiem jak najczulsza matka. Umieściła ją natychmiast w klinice dla położnych, gdzie ją codzień odwiedzała; potem wzięła stamtąd na trzymiesięczne kolonje letnie, a dziecko umieściła w odpowiedniej rodzinie na wychowaniu, gdzie je matka co niedziela może na parę godzin odwiedzać; wyprocesowała dla dziecka od jego ojca alimenta; dla matki, znalazła posadę ekspedjentki w dużym domu towarowym; dziewczyna dotąd tam pracuje, a wieczorami uczęszcza do uniwersytetu powszechnego, po ukończeniu którego ma iść na kursa ochroniarskie. Należy pozatem do klubu sportowego, jest w świetlicy dla młodzieży — słowem z najnieszczęśliwszej ofiary zrobiono tu człowieka w całem tego słowa znaczeniu, jednostkę idącą śmiało, a poważnie w życie.

Oto jeden tylko znany mi osobiście, dorywczy przykład, jakiem błogosławieństwem mogłaby być dla tych nieszczęsnych nieślubnych matek i dzieci taka poradnia.

Sądzę, iż poradnie dla nieślubnych matek i dzieci powinny być w Polsce czemprędzej uruchomione.

Wanda Zielińska



PAN FIŁOSOFOW A TRADYCJA CYGANÓW

W wychodzącym w Warszawie dzienniku *Mołwa* umieścił p. D. Fiłosofow artykuł p. t. „O państwowości w ogólności, a państwowości cygańskiej w szczególności". Zajął się w nim moją rozprawką o „Propaństwowości i antypaństwowości", drukowaną w *Wiadomościach literackich*, a następnie rozprawił się przy okazji jeszcze z Ligą Narodów i z europejskim prądem racjonalizmu XIX stulecia.

Tak więc polemika p. Fiłosofowa odbyła się na rozszerzonej platformie. Nie chodziło mu, jak mówi, o bezpłodną polemikę, ale o ogólne zagadnienia. Stąd warto się jego wywodami zająć.

P. Fiłosofow jest emigrantem rosyjskim. Głębokie współczucie towarzyszy w całej Europie tym ofiarom rewolucji rosyjskiej. Wielu wśród emigrantów rosyjskich odznacza się wybitnemi zdolnościami artystycznemi, towarzyskiemi i innemi, co stanowi dla krajów, gdzie osiedli, niemałą atrakcję.

Zdawałoby się, że ci emigranci, przybywszy szczęśliwie do Europy, podglądać będą z ciekawością w życiu Europy to wszystko, co mogłoby przyczynić się do zabezpieczenia krajów europejskich przed tak gwałtowną formą przemian społecznych i politycznych, jakie miały miejsce w Rosji. Wszak nic innego nie mogło utrzymać Europy po wojnie światowej w pewnych ewolucyjnych formach, nic innego nie mogło w razie nawet rewolucji nadać jej piętna mniej radykalnego i bardziej bezkrwawego, jak te ogromne zasoby wypracowanych organizacyjnych, kulturalnych, ekonomicznych i społecznych treści, które narody europejskie z siebie wydały — niezależnie od swego ustroju politycznego, czy społecznego. Wszak nieszczęściem starej Rosji było, że ten naród, który tak wiele czuł i zdolen był myśleć, tak mało umiał przelać z siebie w materjalną i organizacyjną rzeczywistość.

Emigranci rosyjscy naogół, podobni w tem do Rosjan wieku ubiegłego, nie poszli drogą, która zdawałaby się być dla nich najnaturalniejszą. Podpatrują raczej przyczyny, dla których w ich pojęciu świat europejski jest poniekąd zagrożony w swem trwaniu. Od samych mieszkańców krajów europejskich otrzymują materjał informacyjny krytyczny i z konsekwencją logiczną wyciągają z tych danych ostateczne wnioski.

Zdolność filozoficznego uogólniania Rosjan jest powszechnie znana. Świat oderwanych „pojęć" jest światem, w którym się obracają z zupełną swobodą. „Pojęcia" nie są u nich tylko próbą opisu rzeczywistości, nabierają jakoby cech substancjonalnych. I dla p. Fiłosofowa rozum ludzki, czy rozum boski, zdrowy rozsądek, a podobnie rozmaite wyrazy dla określenia uczuć, to jakby rzeczy same w sobie. Zdaje mi się, że właśnie dzięki temu te pojęcia tracą właściwą sobie żywotność, stają się jakby tylko elementami ekwilibrystyki w gruncie rzeczy logicznej.

W rezultacie takiego rozumowania świat i ludzie stają się nader głębokiemi pojęciami, wobec których wszystko, co konkretnie dzieje się na tej ziemi, jest w ostatecznej konsekwencji marnem — upokórz się zatem marny człowieku, wierzący w swą mądrość! Upokórz się przed rozumem boskim, nie ludzkim!

Można mieć jednak pewne wątpliwości w ludzkie spostrzeganie rozumu boskiego. Król Filip II hiszpański kająć się przed Bogiem w chwili agonji, wyrzucał sobie wobec Boga przedewszystkiem to, że był zbyt łagodny wobec heretyków. Jak na największego pogromcę kacerzy, fakt ten wydaje się dziwnym. Co do Boga Filipa II, powstaje podejrzenie, że był on więcej stworzony na obraz i podobieństwo tego króla, aniżeli odwrotnie. Bóg pana Fiłosofowa jest co prawda mniej namiętny i osobisty, jest stworzony raczej, na podobieństwo pana Fiłosofowa. Znikła indywidualność Boga, powstał rozum boski, powiedzmy odrazu — doktryna.

Gdy mnisi średniowieczni zalecali pokorę możnym władcom tego świata, na tym naszym „zgniłym" Zachodzie europejskim, w skutkach nie było to tak ujemne. Duma jest u władców złym doradcą; rządzący powinni poznawać tych, którymi władają, wiedzieć bezstronnie, czego rządzonym właściwie potrzeba; powinni, niejednokrotnie przysłuchując się głosom podwładnych, dosłuchiwać się głosu Bożego.

Gorzej jest, gdy propaguje się pokorę dla podwładnych. Nie zawsze bunt jest aż tak ujemny, jak o tem pisze p. Fiłosofow. Religijnie wyrażając się, niejednokrotnie taka bezwzględna negacja wobec „buntu" może prowadzić do kultu półbożków. Politycznie i społecznie musi prowadzić tego rodzaju dogmatyzm uległości, przynajmniej po pewnym czasie, do zupełnego marazmu.

P. Filosofow powtarza odwieczne twierdzenie, merytorycznie słuszne, że niema wolności prawdziwej bez ukorzenia się przed czemś większem od człowieka. Człowiek, który nie wyczuł swej małości, staje się niewolnikiem swego małego ja, swego zdrowia, ambicji i t. p. Zawierać nie powinno w sobie to twierdzenie propagandy bezsilnej pokory wobec półbożków, przekonania, że spełnia się wolę Bożą z chwilą, gdy wyrzekło się woli własnej, a spełnia się cudzą.

Jeżeli społecznie, czy politycznie, służenie półbożkom może nasuwać wątpliwości, to tem bardziej wątpliwem jest imputowanie swych myśli Bogu. Katolicyzm stworzył cały system, by wyeliminować u swych adeptów tendencję do indentyfikowania myśli poszczególnego człowieka z jego Bogiem; by powiększyć dystans między Bogiem, a przeżyciem wewnętrznem człowieka. W istocie u mistyków religij mniej społecznych, niż katolicyzm, identyfikacja Boga ze swoją myślą, podobnie jak to miało miejsce u Filipa II-ego, następuje niezwykle łatwo.

Taki własny Bóg jest dla stanowiska wobec świata nader niebezpieczny. Bóg rozwiązuje poniekąd sumienie tego, który go wyznaje. Pozornie uwalnia człowieka od egoizmu, spełnia wtedy bowiem człowiek nie swoją, ale jego wolę. To daje mu znaczną siłę, siłę płynącą ze służenia objektywnej myśli, a nie własnej. W rezultacie jednak służy ten człowiek swej małej, egoistycznej woli.

P. Fiłosofow jest zedcydowanym zwolennikiem irracjonalizmu. Zarzuca mnie i zresztą bardzo licznym ludziom w Europie zachodniej, tradycyjny racjonalizm XIX wieku. Nie bez słuszności twierdzi, że na dnie wszelkiego racjonalizmu dopatrzeć się można irracjonalnych punktów wyjścia wierzeń, ideałów, pragnień.

Zdaje się jednak, że w stosunku do irracjonalnych punktów wyjścia należy zastosować też pewną dyscyplinę. Co najmniej można od nich wymagać, by nie były sprzeczne same w sobie. Następnie, aby najprostsze konsekwencje irracjonalnych założeń nie prowadziły do sprzeczności z obserwowaną rzeczywistością, jak to się dzieje np. w astrologji. Przedewszystkiem zaś należy okazać maksimum wysiłku i dobrej woli, aby ograniczyć irracjonalność w myśleniu do osiągalnego minimum, to jest właśnie do założeń. Wybitny historyk i socjolog niemiecki, Max Weber, wartościuje działanie narodów, czy społeczeństw, zależnie od procesu racjonalizowania przez nie swych irracjonalnych założeń. Przeciwieństwem takiego postępowania, przeciwieństwem powodującem barbaryzację, byłaby chęć utajemniczenia nie tylko założeń irracjonalnych, ale całego procesu ujawniania się i wykonywania pewnej myśli.

Niechęć do racjonalizmu, a nawet racjonalizacji, prowadzi p. Fiłosofowa do odnajdywania, może zbyt pochopnego, źródeł irracjonalizmu u tych, których uważa za zwolenników racjonalizmu. Co do mnie sądzi, że moim irracjonalizmem jest wiara w ludzkość i na dowód cytuje moje twierdzenie, że możnaby zwątpić w ludzkość, gdyby się przyjęło, że nie wróci do zasad zdrowego rozsądku. Oczywiście twierdzenie moje jest natury historycznej, a nie filozoficznej, czy metafizycznej; chodzi mi o znany fakt, że gdy ludzie zbyt wiele głupstw poczynią, są zwykle zmuszeni wypadkami do powrotu ku rozsądkowi, albo też marnieją zupełnie.

Podobnie wiara w postęp, którą mi p. Fołosofow imputuje, nie mając zresztą wystarczających danych dla takiego twierdzenia w mym artykule, może posiadać w pewnej mierze pewne swe faktyczne i historyczne uzasadnienia. Tak n. p. postęp w naukach jest niezaprzeczalnym faktem. Ostatnie doświadczenia historyczne uczą, że nawet taki przewrót społeczny, jaki odbył się w Rosji, poważnie nie zagroził zachowaniu się pamięci rezultatów nauki, nawet w samej Rosji. Bardzo mało jest danych, by przypuszczać, że nasza nauka nowoczesna łatwo mogłaby pójść w zapomnienie u ludzkości.

Oczywiście jeśli chodzi o teorję postępu *automatycznego* ludzkości, nie wytrzymywała ona nigdy i nie wytrzymuje obecnie poważnej krytyki faktów. Powstała zaś w XIX wieku na tle stale wzrastającej ceny ziemi, rozwijającej się w Europie konjunktury przemysłowej, oraz wielkich wynalazków technicznych. Skorobym wierzył w postęp automatyczny, nie miałbym powodu nie uwierzyć w tezę p. Fiłosofowa, że to nowe „irracjonalne", co się obecnie niejednokrotnie w niektórych krajach Europy objawia, jest dalszym, a nawet zasadniczym zwrotem w poprawie sytuacji, wyższym etapem życia zbiorowego ludzi.

Wiara p. Fiłosofowa w nowe irracjonalne prądy u ludzkości nie powstała jednak oczywiście z wiary w automatyczny postęp. Powstała ona na tle niewiary w to, co nazywa „racjonalizmem" Europy. W ostatecznej perspektywie i rozwoju takich idej, jak liberalizm gospodarczy i socjalizm, widzi n. p. koniec wszelkiej idei państwowej. W gruncie rzeczy, biorąc historycznie, nigdy dotychczas nie widzieliśmy w ciągu dziejów takiego liberalizmu gospodarczego, któryby doszedł w ostatecznej konsekwencji do zniesienia państwa. W czasie, gdy liberalizm gospodarczy w Anglji był panującą doktryną, Anglja była nader potężnem państwem. Podobnie i komunizm, który w filozoficznej konsekwencji winien zniszczyć pojęcia państwa, nie zniszczył go

w praktyce ani w Persji, czy Chinach lub w Münsterze, gdy temi krajami niegdyś zawładnął — ani dziś Rosji nie doprowadził do stanu cofnięcia się państwa na jakimkolwiek odcinku.

Jeżeli liczymy się z historyczną rzeczywistością, otrzymujemy być może rzeczywistość bardziej zagmatwaną, aniżeli przy kosekwentnem rozważaniu myśli filozoficznej, z jej własnych założeń. Ale gdy będziemy się trzymać myśli zdobytej na doświadczeniu historycznem, przedstawi się nam świat niejednokrotnie mniej pesymistycznie, niż przy rozwijaniu myśli filozoficznej do ostatecznych jej konsekwencyj.

Motywy buntu Szwajcarów przeciw Habsburgom nie posiadały wcale tych znamion pokory, jakiej p. Filosofow od ludzi wymaga. Szwajcarzy mieli pewne troski materjalne, związane z wyzyskiem praw suwerennych przez Habsburgów. Pragnęli sami się rządzić, być wolnymi, zapominając nawet o tem, że aby to naprawdę osiągnąć, należy mieć poczucie swej małości. Ci chłopi byli nawet wcale zarozumiali. Skoro zwyciężyli, objawiali nadal brak wszelkich zdolności do prawidłowego teoretyzowania. Urządziwszy u siebie demokrację, podbitemi przez się ziemiami rządzili niemniej arbitralnie, jak inni ówcześni władcy; zawierali związki i sojusze z miastami, rządzonemi oligarchicznie. Mimo to rezultaty faktyczne po paru setkach lat i w ciągu tych paru setek lat swego istnienia mieli niezgorsze.

Nawet jednak najbardziej zapalony do rozwijania idej w ich ostatecznych konsekwencjach człowiek, powinienby uznać, że nie jest rzeczą bez znaczenia, co ludzie ostatecznie wypracowują, niezależnie od tego, jakim ideom wydają się służyć. Ta wypracowana rzeczywistość posiada największą wagę i jest właśnie tą tradycją, czy kulturą, o której p. Filosofow mówi w odniesieniu do cyganów. By wrócić do mego artykułu, ta ustalona kultura i tradycja, względnie ułatwia rozróżnianie między tem, co w jakimś kraju można n. p. nazwać propaństwowem, czy antypaństwowem, a co, jak słusznie podkreśla p. Filosofow, na drodze rozważań filozoficznych poniekąd się zupełnie zaciera. Podkreślenie tego stanu rzeczy było najważniejszym celem mej rozprawki o „propaństwowości i antypaństwowości".

Uderza tu natomiast jedna właściwość p. Filosofowa. On, który szermuje za utrzymaniem tradycji i kultury cygańskiej, zagrożonej projektem Ligi Narodów umiejscowienia cyganów w jakiemś nowem, utworzonem dla nich państwie na wyspie, nie zdaje się być bynajmniej tak sentymentalnym w odniesieniu do tradycji i kultury narodów zachodnio-europejskich. Wszak to, co nazywa racjonalizmem XIX wieku, jest właśnie zdobyczą tych narodów w metodzie ich życia. Zmienia się i ona zapewne, jak wszystko na świecie, ale pozostaje jednak kanwą ich życia.

Czyżby naprawdę p. Filosofow myślał, że kultura i tradycja cyganów, jako irracjonalna, była więcej warta, niż racjonalizująca tradycja i kultura narodów zachodnich? Przyznam się, że milszą mi jest myśl, by cyganie stracili swe specyficzne właściwości i wskutek podniesienia się z czasem dobrobytu i oświaty rządzili się choćby nawet parlamentarnie, co taki wstręt budzi w p. Filosofowie, — aniżeli, by silne prądy irracjonalne, w założeniu oraz w dalszych konsekwencjach, miały poważnie nadszarpnąć strukturę duchową krajów w rodzaju Szwajcarji, Anglji czy Francji.

Piotr-Dunin Borkowski

ODGŁOSY

BEZGRANICZNY TUPET

Prezes nowego senatu gdańskiego, dawny działacz nacjonalistycyjny i podżegacz antypolski na terenie województwa Poznańskiego, dr. Rauschning, przedstawił się stołecznej prasie polskiej i akredytowanym w Warszawie dziennikarzom zagranicznym jako „taktyk", starający się wykonać jaknajlepiej polecenie, otrzymane od przełożonego... w Berlinie.

Zebrało się nas, dziennikarzy, kilkudziesięciu w obszernym gabinecie hotelu Europejskiego. Uprzejmi, nieco skłopotani urzędnicy prasowi, starają się ograniczyć do minimum możliwość stawiania gościom pytań „drażliwych". Trudno: polityka, dyplomacja... Wśród dziennikarzy — pewne zaciekawienie: poraz pierwszy staje w Warszawie mąż zaufania Hitlera w roli oficjalnej.

P. Rauschning jest typowym przedstawicielem Niemca z warstwy średniej. Gładki, uprzejmy, uśmiecha się, mówi płynnie komplementy pod adresem narodu polskiego i rządu, który przed kilku laty w jego publikacjach był uosobieniem polityki wynaradawiającej Niemców ziem zachodnich. Ktoby w takiej chwili badał i pamiętał wywody publicystyczne d-ra Rauschninga, wieloletniego przywódcy nacjonalistów niemieckich na terenie Poznańskiego? Teraz ma dla Polski jedynie słowa uznania i nadzwyczajnej sympatji.

Jego zastępca, senator spraw wewnętrznych, Greiser, to gdańszczanin najświeższej daty. Trzyma się, jak typowy szturmowiec. Gdy mu przedstawiają kolejno dziennikarzy, wita się podaniem ręki, którą potem sposobem faszystowskim wznosi w górę. W tem towarzystwie, tak różnorodnem, powitanie to mimowoli budzi uśmiech.

Prezes senatu, Rauschning, wygłasza przemówienie. Mówi płynnie, chce pozyskać sympatje prasy polskiej, obiecuje zainicjowanie nowej polityki bezpośredniego porozumienia z Polską. Tę część swego zadania ,wypełnił zręcznie.

Gdy oświadcza, że Gdańsk uznaje Traktat Wersalski, jako „magna charta swej wolności", ten sam traktat, który jego szef chce obalać, rodzi się w umyśle słuchacza wątpliwość, która potęguje się w miarę dalszych wywodów. Oto zapewnia nas nowy prezydent senatu gdańskiego, że nie może być mowy o tem, aby rząd niemiecki miał się wtrącać w „rządzenie Gdańskiem"...

Ale teraz clou wystąpienia; p. Rauschning wykłada prasie polskiej, czem jest ruch narodowo-socjalistyczny. Zdumieni słuchacze dowiadują się, że odrodzeńczy ruch hitlerowski ma tę samą genezę duchową, co walka wyzwoleńcza... emigracji polskiej, co działalność polityczna... Mickiewicza i Lelewela (!!). Walka ta, której ideowe założenia żyją po dziś dzień, pozwoliła Polsce opanować największe trudności. Hitleryzm jest... podobnym ruchem politycznym, socjalnym, etycznym i obyczajowym narodu niemieckiego.

Albo p. Rauschning nigdy nie widział pism Mickiewicza i Lelewela, albo je czytał i w takim razie popełnił — mówiąc delikatnie — nieścisłość... W jednym i drugim wypadku — mówiąc niedelikatnie — bezgraniczny tupet.

„Trybuna ludów" Mickiewicza i „Mein Kampf" Hitlera!... Niema w literaturze wszechświatowej

przeciwstawienia jaskrawszego. Pisma Lelewela, ojcem demokracji polskiej zwanego, i propaganda gwałtu, bezprawia i teroru Goeringów, Goebbelsów i t. p!...

Dziennikarze polscy, wobec których uczyniono to niesłychane porównanie, nie mogli, niestety, zareagować we właściwy sposób na tego rodzaju wybryk, uwłaczający pamięci wielkich bojowników wolności i sprawiedliwości.

R.

POLEMICZNY SZANTAŻ

W obszernej odpowiedzi Boya-Żeleńskiego na obrzydliwie napastliwą książkę Karola Irzykowskiego p. t. „Benjaminek" znajdujemy następującą uwagę:

„Benjaminek" p. Irzykowskiego byłby sam w sobie rzeczą bez znaczenia, ciekawostką literacką, może materjałem dla lekarza-psychoanalityka. Stworzyła rozgłos tej książce — konjunktura. Zjawiła się w pełni kampanji przeciw mnie. To też jeszcze nie wyszła, a już nasze ciemnogrodzkie pisma piały jej przyszłą chwałę; z chwilą gdy się ukazała, towarzyszyły jej w tychże pismach hymny zachwytu. Cała książka przeciw znienawidzonemu Boyowi, i to książka „postępowego" pisarza! Rzecz znamienna, te same dzienniki, które, zwalczając mnie na wszelkie sposoby, robią ze mną porachunek za „świadome macierzyństwo" i za wszystkie te poglądy, które p. Irzykowski *podziela*, powitały jego książkę jako sukurs. To dowodzi wyraźnie, że one gwiżdżą na jego poglądy; potrzebna jest im jedynie jego nienawiść. Na usługi tego paszkwilu oddał się cały aparat klerykalnych agencyj prasowych. Ukoronował to sam p. Irzykowski, kwiaty swoich myśli na temat powstania „Benjaminka" — kokieteryjny autowywiad — składając w „Tęczy", owej „Tęczy", z której pouciekali co uczciwsi „zawodowi katolicy", nie mogąc wytrzymać jej swoistej atmosfery. To była apoteoza: rozanielony Pedant w objęciach błogo uśmiechniętego Świętoszka. I p. Irzykowski twierdzi, że Molier się zestarzał!"

Otóż to właśnie: mętne źródło rozgłosu książki p. Irzykowskiego stąd powstało, że chwalili ją klerykalni agitatorzy, walczący z Boyem za głoszone przezeń poglądy społeczne, które p. Irzykowski *podziela*... Na tem polegał ich polemiczny szantaż.

Gdyby żółć i wątroba nie działały tak destrukcyjcyjnie na psychikę p. Irzykowskiego, pochwały prasy klerykalnej, tak przewrotne, mogłyby obrazić jego smak moralny.

STRAJK DZIECI

Pisma codzienne doniosły, że wskutek spadku dolara produkcja w Ameryce wzmaga się. Bezrobocie maleje. Kraj, który dotychczas nie umiał zorganizować statystyki i obliczyć swych kilkunastu miljonów bezrobotnych, nagle — z podziwu godną szybkością — zdołał stwierdzić, że aż dwa miljony (?!) ludzi powróciło w ciągu ostatnich kilku tygodni do pracy.

Tak, przyznać trzeba, że istnieje pewna warstwa pracownicza, wśród której bezrobocie maleje. I to niezależnie od spadku dolara. Właśnie kryzys wytwarza stały popyt na tych pracowników. Są niemi — ***dzieci.***

Tysiące dzieci zapełniają drobne fabryczki, warsztaty rzemieślnicze, zatrudniane są w handlu ulicznym, w przemyśle restauracyjnym i w pralniach. Praca młodocianych trwa od 7 rano do późnego wieczora. Wynagrodzenie nieletnich pracowników w kraju, który w podziemiach Wall Street zmobilizował niemal połowę złota świata, waha się w granicach od 1 do 3 dolarów *tygodniowo*. W drobnych zakładach krawieckich zwalnia się masowo pracowników dorosłych, zastępuje się ich dziećmi. Młodociani poniżej lat 16-stu pobierają przeciętnie 3 dolary tygodniowo, conajmniej jedna piąta zatrudnionych w przemyśle krawieckim 2 dolary na tydzień uważa już za szczyt swych marzeń. Praca trwa od świtu do nocy. Nieszczęsne ofiary taniej pracy spędzają 12 do 15 godzin w ciasnych, źle oświetlonych, zupełnie nie wentylowanych komórkach-pracowniach, ślepną nad ściegiem, mknącym zawrotnie, nadwyrężają swe drobne kończyny, dźwigając ciężkie żelazka, kłują sobie wychudzone palce, przyszywając stosy guzików.

Nielepiej rzecz ma się w restauracjach i pralniach. Ciągła, nieustająca harówka, bez niedziel i świąt. Szorowanie kotłów, dźwiganie stosów talerzy i bielizny, zależność od całej służby dorosłej, wszystko to „wynagradza" pensja... 5 centów za godzinę.

Czyż dziwić się należy, że jest to dla pracodawców najlepszy materjał, że gdy w ciężkim przemyśle spadek liczby robotników w porównaniu z rokiem 1920 wyniósł 63%, to liczba zatrudnionych w handlu i rzemiośle dzieci spadła tylko o 20%, a wśród służby domowej i gastronomicznej — zaledwie o 15%? Czyż dziwić się należy, że nawet w nieuprzemysłowionych stanach południowych wzrost zatrudnienia młodocianych poniżej 16-stu lat waha się od 7 do 29%?

***

Prawdopodobnie nie dowiedzielibyśmy się tak prędko o tej zakulisowej stronie „wzmagania się pracy" w Stanach Zjednoczonych, gdyby nie garstka odważnych dziewcząt z Allentown w stanie Pennsylwanji. Dzieci w wieku lat 12 — 15 zastrajkowały! Niedość tego. Wyszły ciżbą na ulicę. Allentown ujrzał niesamowitą „wielką paradę": szły blade, wątłe, chude, wygłodzone dziewczęta. W ten sposób wyraziły swój protest. Z okien zakładów krawieckich spoglądały na nie setki innych dzieci, które nie odważyły się zastrajkować, dla których pięć centów za godzinę ciężkiej pracy są zbyt wielkiem szczęściem, aby zaryzykować ich utratę.

„Parada dzieci" w Allentown poruszyła skostniałą amerykańską opinję. Na chwilę zapomniano o londyńskiej konferencji, o spłacie długów i o ostatnim turnieju boksu. Agencja prasowa Universal Service delegowała do Allentown jedną ze swych najlepszych reporterek. Oto jej relacja o pewnej Mildred Sweeney.

„Mała piętnastoletnia Irlandka. Powinnaby raczej grać w koszykówkę. Ale piętnastoletnia Mildred jest obecnie jedyną oporą swej rodziny. Od 7 rano do 5-ej popołudniu Mildred przyozdabia sukienki w pracowni modniarskiej. Za swą długą i ciężką pracę „wyrabia" do 1 dol. 10 centów tygodniowo. Był taki tydzień, gdy zarobiła tylko 5 centów! Do domu wraca tak bardzo zmęczona, że już jeść nie może, zasypia natychmiast, aby wstać o świcie do pracy". Takich Mildred są setki w samem tylko Allentown, a setki tysięcy w Stanach Zjednoczonych.

Z pośród wszystkich stanów Ameryki Północnej zaledwie 10 (wyraźnie dziesięć!) wypowiedziało się za ograniczeniem pracy młodocianych. I to — przeważnie stany zachodnie, nieuprzemysłowione. Pozostałe sprzeciwiają się jakimkolwiek ograniczeniom, mimo starań stowarzyszeń humanitarnych, a nawet obecnej sekretarki, stanu dla spraw pracy, miss Frances Perkins. Większość Amerykan woli zatrudniać masę tańszą i łatwo dającą się eksploatować.

W Ameryce odżyło niewolnictwo najgorszego rodzaju. Niewolnikami w „wolnych stanach" nie są już dorośli murzyni, lecz wątłe dzieci bez różnicy zabarwienia skóry.

Leo Hochberg

SZKOŁA KSIĘDZA PIROŻYŃSKIEGO

Ojciec Pirożyński stworzył szkołę. Szereg „krytyków" przyswoiło sobie jego „metodę" badań literackich i ocen. Osoby stosujące analizę krytyczną a la Pirożyński grupują się dokoła pisemka *Przegląd oświatowy*, wychodzącego pod redakcją ks. A. Ludwiczaka. Światłe pisemko wychodzi w Poznaniu i ma na celu ochronę czytelnika przed szkodliwą literaturą. *Przegląd Oświatowy* wydaje pozatem dodatek o śmiałym tytule „Ocena książek". Ma to być „poradnik dla bibljotek". W tym to dodatku wszystkie niemal książki, pojawiające się na polskim rynku księgarskim, poddane zostają ostrej, oraz bardzo osobliwej krytyce. Każdy z omawianych autorów dostaje tu cenzurkę. Kryterja, któremi się kierują cenzorzy, są mniej wyraźne, gdyż książki wcale przychylnie ocenione mogą dostać notę niedostateczną i naodwrót. Formułki wyroków umieszczone na końcu każdej recenzji brzmią: „Nie nadaje się do naszych bibljotek", albo „Nie nadaje się do T. C. L." (Towarzystwo Czytelń Ludowych), albo „Do bibljotek T. C. L. nie polecam". Recenzje łaskawe kończą się notą: „Można dozwolić", „Polecone dla wszystkich", „Polecone tylko dla dorosłych" i t. d.

Widzimy zatem, że mamy tu do czynienia z ludźmi o nieomylnym smaku literackim. Z ludźmi, którzy wiedzą czego chcą i ze swej świadomej woli robią konsekwentny użytek. Z tych względów byłoby może wskazane zawrzeć bliższą znajomość z ich „ocenami". Chodzi wszak o wielką, oczyszczającą akcję wychowawczą! Kilka urywków i cytat odsłoni nam mentalność ,chwyty i cele tej placówki literackiej.

O „Sekrecie kobiety" Ireny Krzywickiej czytamy: „Szczerość autorki obliczona jest na efekt, ale budzi często niesmak. Z niejedną tezą autorki możnaby się zgodzić, ale odstręcza od książki to wychwytywanie z tematów efektów, niezgodnych rzekomych założeń z faktycznemi wynikami". — Jest tam jeszcze parę wnikliwych uwag — i w końcu cenzurka: „Do bibljotek T. C. L. nie polecona". Na indeksie 3-go numeru „Przeglądu oświatowego" znajdują się ponadto następujące książki: Teodora Dreisera „Prawo do życia", Ilji Erenburga „Fabryka snów", Fr. Torberga „Kurt Gerber zdał maturę", powieść M. R. Frenkla „Minuta milczenia" i t. d.

Niektórzy niebezpieczni pisarze wyszli cało, czy też prawie cało. Niewiadomo jaka tu działała tajemnicza kalkulacja. Ocalał naprzykład nie kto inny, jak Antoni Słonimski. Wydrukowano o nim co następuje: „Słonimski to już dzisiaj prawie należy do klasyków sowietoznawstwa. Krytykuje on wprawdzie stosunki sowieckie, ale z maską sympatji i tolerancji w głosie. Nic dziwnego, Słonimski, jako Żyd, sympatyzuje z dziełami ducha żydowskiego" i t. d. Następuje niespodzianka: „Dla bibljotek wielkomiejskich". Więc jednak...

A teraz zobaczymy jaki to zdrowy pokarm „Przegląd oświatowy" poleca. Jakie książki bez obaw i skrupułów mogą, zdaniem współpracowników pisemka, być zakupione dla bibljotek ludowych. Wystarczy podać jedną z dodatnich ocen, ażeby wyrobić sobie pojęcie o polityce literackiej, no i poziomie intelektualnym redakcji. Redakcja „dozwala dla wszystkich" powieść Guy Chantepleura p. t. „Czarodziejka zamku Malencontra". Oto parę ostatnich zdań ze sprawozdania o tej książce: „Po krótkich jeszcze perypetjach młodzi oczywiście łączą się z sobą, wyjeżdżają z potwornego zamku na nowe piękne życie! Rzecz nie ma większej wartości. Możnaby polskich podobnych książek nafabrykować tuzinami, a żaden Francuz nie przetłumaczyłby tych na francuski język. Dozwolone dla wszystkich".

Jasne? Młodzi oczywiście łączą się, rzecz nie ma większej wartości, można ją więc dozwolić dla wszystkich.

Takie to dokumenty znajdujemy w 3-cim n-rze pisma wydawanego przez „Towarzystwo Czytelń Ludowych" w Poznaniu.

Możemy spać spokojnie. Możemy z otuchą patrzeć w przyszłość. Skoro istnieją podobne pisma i podobni krytycy, skoro istnieje sztab ludzi oddających cały swój zapał i najlepszy styl jakim rozporządzają (porównaj próbki) na usługi naszego ludu i naszej młodzieży — nic kulturze naszej nie zagraża...

Dr. Aleksander Niedźwiedziński

PROWOKACYJNE PLAKATY

Antysemici francuscy, którzy nie znajdują mimo wysilonej działalności posłuchu wśród szerszych kół opinji, rozlepili ostatnio na murach Paryża plakaty o następującej treści:

„Przyjaciele Francuzi! Nie kupujcie „Wolnego Słowa" (organu antysemickiego), reklamowanego przez kioski. Jest to dziennik nacjonalistyczny, który znieważa biednych Żydów".

„Przyjaciele! Przyjmijcie bratersko 150 tysięcy Żydów niemieckich. Byli wczoraj kierownikami finansów, handlu, przemysłu, sądownictwa, prasy. Pomóżcie im odzyskać we Francji to, co tam utracili".

„Chrześcijanie! Nie zapominajcie, że Chrystus, którego umęczyliśmy, przebaczył nam z wysokości krzyża. Przebaczcie nam męki chrześcijan Rosji, Węgier, Bawarji i Meksyku. Przyjmijcie nas! Komitet Żydowski".

„Nie chcemy jechać do Palestyny. Naszą ziemią obiecaną jest Francja. Niechaj ci, którzy nas nie chcą, ustąpią z pola".

„Komuniści! Socjaliści! Nie zapominajcie, że wasi przewodnicy, Marx, Lassalle, Lenin — byli Żydami. Zinowiew, Bela Kuhn, Kurt Eisner, którzy dokonali rewolucji w Rosji, na Węgrzech, w Bawarji; Leon Blum, Ziromsky, Bloch, Levy, którzy kierują S. F. I. O. — są wszyscy Żydami. Pomóżcie Żydom niemieckim. Zwalczajcie nacjonalistów antysemickich! — Komitet Żydowski".

„Francja jest naszą ziemią obiecaną! Podbiliśmy ją, jak Francuzi podbili Algerję i Indochiny, lecz środkami pokojowemi. Staliśmy się panami finan-

sów francuskich dzięki Rotschildowi, Lazare'owi, Dreyfusowi, Finaly'emu etc...

Zawładnęliśmy handlem i przemysłem francuskim dzięki Baderowi i Kahnowi (Galerje Lafayette), Citroenowi, Brunswickowi, Levy, Erlichowi, Levitanowi (meble) etc....

„Kierujemy partjami, masonerją, wielką prasą, kinem, cenzurą widowisk etc...

„I znajdują się nacjonaliści o tyle głupi, że żądają naszego powrotu do Palestyny. Jest nam tutaj zbyt dobrze! — Komitet Żydowski".

PRZYJEMNE TYPY

Taki oto obrazek z ulicy warszawskiej...

Róg Nowego Światu i Ordynackiej. *Czteroletni* chłopczyk woła: „Grosz za pęczek! grosz za pęczek!" Sprzedaje rzodkiewki. Wielki kosz. Przechodnie zatrzymują się — zdziwieni. Jakże to możliwe? Tylko grosz?

Pytam chłopca:

— Czy ty się znasz na pieniądzach?

— Znam się.

— Kto ci kazał sprzedawać po groszu pęczek?

— Matka.

— Czy pamiętasz, że po groszu?

— Ano po groszu.

Przechodnie kupują. Każdy jest przekonany, że to omyłka. Ale kupują i płacą po groszu za pęczek. Daję chłopcu pięć groszy. Chciał dać pięć pęczków. Biorę jeden. Chłopiec zdziwiony.

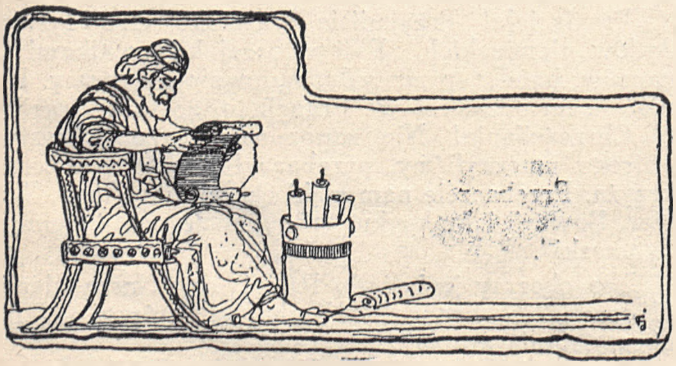
Obserwuję kupujących. Po kwadransie — wszystko sprzedane.

W domu okazuje się, że wszystkie rzodkiewki — zepsute.

Matka tego chłopczyka rozumowała trafnie: gdyby sama sprzedawała po groszu za pęczek, każdyby się domyślił, że rzodkiewki zepsute, ale jeżeli będzie je sprzedawało dziecko, każdy pomyśli, że dziecko się myli. Więc będą kupowali.

Obrazek syntetyczny: dziecko, jako narzędzie oszustwa, którego ofiarą padli oszuści...

St. G.



NAJNOWSZE KSIĄŻKI

WSTRZĄSAJĄCA KSIĄŻKA

Dość rzadkie u nas zjawisko: drugie wydanie powieści w ciągu kilku miesięcy. Taki sukces zdobyła powieść Leona Kruczkowskiego „Kordjan i cham" (Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa).

Nic dziwnego, że książka ta wzbudziła zainteresowanie. Jest wstrząsająca. Jest zarazem wysoce pożyteczna, jako uczciwa lekcja jednego z ważnych rozdziałów historji, tem ważnych, że jeszcze żyjących w swoich skutkach. Niema w tej powieści — jak sam autor zaznacza — nic z „romansu" w tradycyjnem pojęciu powieści historycznej, niema w niej „fabuły" i „bohaterów" na miarę fantazji autorskiej. Praca p. Kruczkowskiego polegała na „zorganizowaniu i dramatycznem uruchomieniu materjałów historycznych, zebranych wzdłuż przyjętej osi tematycznej". Tą osią jest sprawa chłopska w Królestwie Kongresowem, w dobie poprzedzającej bezpośrednio wybuch powstania listopadowego. Materjałem podstawowym był dla autora jedyny pamiętnik chłopski z tych czasów, mianowicie pamiętnik Kazimierza Deczyńskiego (1800 — 1838), wydany w r. 1907 przez prof. Marcelego Handelmana („Żywot chłopa polskiego na początku XIX stulecia").

Więc obraz życia z przed stu lat... Czem jednak żywotny? Czem przykuwający uwagę? Czy tylko talent autora sprawił, że książka ta ma tak duże powodzenie? Oczywiście — talent przedewszystkiem. Ale i treść, która jeszcze nie należy całkowicie do „historji". P. Kruczkowski pisze w przedmowie, że momentem, który zajął go najżywiej w pamiętniku Deczyńskiego, była „wyraźnie na jego kartach ujawniona świadomość klasowa autora", a ten moment — „to więź *aktualności*, przerzucona pomiędzy dniem dzisiejszym, a „historycznym" tematem tej książki". Wyraz „historycznym" ujął p. Kruczkowski w cudzysłów. W dużym stopniu — słusznie. Bo mimo wszystkie zmiany, jakie zaszły w ciągu stu lat w położeniu ludu, działają jeszcze — w pewnych dziedzinach — starodawne metody upośledzenia i ucisku.

Rzeczy, opisane przez p. Kruczkowskiego, budzą grozę najwyższą. Nieznającym historji mogą wydać się nieprawdopodobne. A wszystko to prawda, tak było: stosunek szlachty do chłopstwa była to jedna, wielka, zbiorowa zbrodnia. Nikt nie ukazał jej dotychczas w beletrystyce polskiej z taką mocą, co p. Kruczkowski. (W literaturze społecznej mamy dzieło kapitalne: „Historja chłopów w Polsce" Aleksandra Świętochowskiego, rzecz wstydliwie przemilczana).

Niema już warunków, któreby pozwalały na tak potworne bezeceństwa, niema już tak sprawnie działającego spisku pomiędzy państwem, kapitałem i kościołem, spisku, który solidarnie maltretował rzesze ludu. Pomiędzy ludem a innemi warstwami narodu niema już przepaści nie do przebycia. Ale istnieje jeszcze ustrój klasowy i wszystkie podstawowe tego ustroju cechy. Dlatego i dziś, naprzykład, ksiądz może wygłaszać i wygłasza takie same kazania, jak sto lat temu: jak to, które podaje p. Kruczkowski. Warto je uważnie przeczytać (str. 164 — 176). Warto zastanowić nad niezmienną rolą kleru, który dziś, jak dawniej, argumentami religijnemi sankcjonuje nierówność społeczną, ucisk, nędzę i wszystkie utrapienia mas. To jedna z tych „więzi aktualności", które sprawiają, że książka p. Kruczkowskiego nie jest tylko powieścią „historyczną". I nie jest tylko protestem przeciwko straszliwym grzechom przeszłości.

Niezależnie od swej wartości dokumentarnej, powieść ta, jako dzieło niepospolitego talentu, zajmuje wybitne miejsce we współczesnej beletrystyce naszej.

M. Czarnowski

WRAŻENIA Z U. S. A.

„Obrazki amerykańskie", które nakreśliła p. Kazimiera Muszałówna*) na marginesie swego pobytu w Stanach Zjednoczonych, są kompleksem nietylko obserwacyj i wrażeń, zarejestrowanych z dużą spostrzegawczością, lecz ponadto sumą refleksyj, typowych dla obywatela Europy, który przywozi z sobą, bezwartościową — jak się rychło okazuje — wiedzę o U. S. A., zaczerpniętą z kontynentalnej prasy. Reakcją przybysza jest stałe, rosnące do rozmiarów niepokoju, zdziwienie. Reakcję tę wiernie oddaje w książce opis metropolji Ameryki — New Yorku. Miasto obłąkanego wyścigu czasu. Time is money! Tempo, tempo! Gra toczy się o stawkę nędzy lub miljonów. Manhattan kusi złudną równością szans, wyrównaniem startu ku mecie bogactwa: humbug, głośny, jak nocne lokale Boadwayu, ofiarujące w kilku kategorjach cen standart użycia i zabawy.

Chicago. Dzielnice — polska, niemiecka, włoska, chińska. Zbiegowisko ras i narodowości. New York zdobył zasłużony rekord „amerykanizmu. Chicago posiada światowy rekord zbrodni. Międzynarodowa stolica bandytyzmu, gangsterów i rackreeterów, mistrzów dochodowego szantażu i rycerzy „mokrej parady".

Prohibicja. Dziedzina życia amerykańskiego, którą otacza atmosfera przestępczości, przekupstwa i bandytyzmu. Prawo o prohibicji skompromitowało ustawodastwo Stanów Zjednoczonych, a wykonanie tego prawa skompromitowało władze państwowe i społeczeństwo amerykańskie. Zdegenerowało rozległą dziedzinę życia społecznego i sprowokowało nowe rodzaje przestępstw. Pozatem — prawo o prohibicji tak znakomicie wyhodowało namiętność pijaństwa, że wódka stała się hasłem towarzyskiem.

Stosunki, panujące w sądownictwie amerykańskiem, nasuwają p. Muszałównie refleksje o „zwyrodniałym demokratyzmie" U. S. A.. Sądy Ameryki stoją na usługach partyj i posiadaczy dolarów. Wybór sędziów i prokuratorów jest arcydemokratyczny. Pochodzą — nie z mianowania, lecz z wyborów powszechnych. Sumienie sędziego stoi w prostej zależności od interesów obozu, czy kliki, których poparciu zawdzięcza on znakomicie płatne i dochodowe stanowisko.

Kulisy wymiaru sprawiedliwości, których krótkotrwała obserwacja zdążyła ujawnić przed spostrzegawczą autorką trupią atmosferę korupcji i przekupstwa, obnażył Upton Sinclair w „Bostonie", który jest wstrząsającym zbiorem faktów i dokumentów o sprawie Sacco-Vanzettiego. Wyrok śmierci, który poprzedziła siedmioletnia tortura więzienia i niepewności, zawieszonej między nadzieją wolności a widmem fotelu elektrycznego, polityczne oblicze jawnie niesprawiedliwego wyroku i wiele innych momentów brutalnego cynizmu i bezprawia — uczyniły z postaci i losu Sacca i Vanzettiego symbol amerykańskiej sprawiedliwości.

P. Muszałówna zwiedziła „moral court", sąd wyrokujący o przestępstwach przeciw moralności. Stają przed nim niemal wyłącznie kobiety. Znakomita większość spraw dotyczy prostytucji, spraw o zarażenie partnera, o wyzywające zachowanie na ulicy, o sutenerstwo.

Znów — Chicago. Ale już inne. Nie — międzynarodowe skupisko ras i narodów, lecz miasto największych na świecie rzeźni. Opowiada p. Muszałówna niesamowitą historję „barana-zdrajcy", (który posłużył za tytuł książki). Napowietrzną zygzakowatą linję tworzy w rzeźniach chicagowskich sieć korytarzy, które prowadzą do miejsca uboju. Krętemi drogami biegnie stado owiec. W pewnym momencie stado staje i niespokojnie węszy. Na moście robi się nieruchomy tłok. Droga jest zakorkowana. Owce poczuły zapach krwi. Wtedy do owiec, zbitych w nieruchomą gromadę, zbliża się okazały baran, który podchodzi i — pokręciwszy się między owcami — zaczyna spokojnie i pewnie posuwać się naprzód. I nagle — całe stado, jakby w odzyskanem poczuciu bezpieczeństwa, rusza za baranem. „Zdrajca" prowadzi pewnie do samych drzwi rzeźni, aby potem, kiedy już owce znajdą się w ostatnim, wąskim korytarzu śmierci, nawrócić sobie tylko znaną drogą po nową gromadę znieruchomiałych owiec.

Baran-zdrajca nasuwa p. Muszałównie smutne refleksje o prowokatorach i sprzedajnych prowodyrach amerykańskich związków zawodowych, których bezradność i niemoc przypisuje korumpującej roli pieniądza.

Czem wypełnia Amerykanin wolny czas? Good time. Przedewszystkiem — good time najlepiej usytuowanego Amerykanina, jakim jest kalifornijczyk — to sporty i wycieczki. Pływanie, tenis, golf, hokej, żeglarstwo, jazda samochodowa.

Good time wieczorem — to tańce i alkohol. Lokale roztańczone ruchem i podwójną muzyką — tonów i kolorów. Przy fortepianie barw uderza w skomplikowaną klawiaturę muzyk kolorów, puszczając w ruch po sali, po tańczących wyścig świateł, zestrojonych z rytmem i nastrojem melodyj. Taniec amerykański obliczony jest na wysoki ton atrakcji zmysłowej, ostrego podniecenia, dreszczu nerwów.

Good time... Imponujący gmach bezpłatnej bibljoteki publicznej w Los Angelos. Setki tysięcy tomów. Wszystkie czasopisma świata. Nowoczesne sale czytelniane. Pusto. Kilkadziesiąt osób dziennie — mieszkańców przeszło miljon. Owszem, czytają. Gazety. Rubrykę wypadków, sportu, giełdy i skandalów.

Nim p. Muszałówna zsumuje wrażenia w końcowym rozdziale, zatytułowanym „Refleksje ostateczne", próbuje odcyfrować istotną i twórczą cechę amerykanizmu, oczywiście — przedkryzysowego. Wszystkie zresztą „obrazki" tworzą krótkometrażowy reportaż o Stanach Zjednoczonych z okresu, który przypadł na pierwsze objawy kryzysowej serji krachów, załamań i bankructwa prosperity. P. Muszałówna mniema, iż tajemnicą dobrobytu U. S. A. i wysokiej stopy życia jest — organizacja. Świetny, sprawny, genjalnie prosty system, planowości i precyzji. Zagadnienie nie jest jednak tak proste. „Najbardziej istotny i twórczy moment", amerykanizmu był jednocześnie momentem klęski: klęski robotnika, którego tayloryzacja, czy fordyzm sprowadziły do roli automatu, a później — klęski producenta, który w zbyt łatwem, idealnie „zorganizowanem" tempie zapełnił stocki zapasami bawełny, kawy, zboża, a na rynek wyrzucił — już nie rezerwową, lecz chroniczną — armję technicznego bezrobocia. Dlatego „Pochwała amerykanizmu", jako idealnej organizacji wydaje mi się zbyt uproszczona.

---

*) *Kaz. Muszałówna.* Baran Zdrajca. Warszawa 1933. Wyd. tygodnika „Kobieta współczesna".

Jakie są refleksje ostateczne? U. S. A. jest krajem daleko posuniętych kontrastów. Pochwalamy sukces materjalny społeczeństwa amerykańskiego. Spostrzegamy zarazem ubóstwo kultury. Podziwiamy fortuny magnatów i królów przemysłowych. Oszołamia jednocześnie cyfra 12 miljonów bezrobotnych.

Kryzys w błyskawicznym tempie ujawnił przeciwieństwa wewnętrzne i wady systemu, zaślepionego, zahipnotyzowanego rozpędzoną wzwyż linją wzrostu potrzeb i dobrobytu. Kryzys spycha na dno nędzy i rozpaczy miljony ludzi, a kraj posiada nadmiar wszelkich dóbr i bogactw. Znamienny, szeroko-płaszczyznowy przekrój współczesnego ustroju: rozkład i zwyrodnienie ideałów społecznych, degeneracja kulturalna i niszcząca gra sił, której motorem była napięta do absurdu ideologja dolara!

Książka p. Muszałówna napisana jest doskonale, żywo, barwnie.

Józef Szpecht



TEATR

»LEKARZ BEZDOMNY« ANTONIEGO SŁONIMSKIEGO W TEATRZE KAMERALNYM

Sztuka Antoniego Słonimskiego zyskała na aktualności. Nie znaczy to, że nie była aktualna przed dwoma laty, kiedy grano ją w Teatrze Małym. Zyskała na tem, że pewne wyszydzone przez Słonimskiego okazy współczesnej menażerji politycznej jeszcze się bardziej upowszechniły i lepiej są dziś znane publiczności. To te typy potworne, które swym fanatyzmem, doktrynerstwem i oschłością duszy zagrażają wszystkim posterunkom uczciwej myśli i ludzkiego serca. Tępe, zarozumiałe, bezczelne i złe, odnoszą się z chamską wyniosłością do każdego, kto ich „pewnikom" przeciwstawi znak zapytania, wątpliwość, nakazy logiki, nawet — rzeczywistość, niezgodną z ich głupawemi wyobrażeniami. Tratują wszystko, co po drodze. Prawdziwa horda umysłowa, podniecona niewątpliwemi zwycięstwami, jakie odnosi nowoczesne, zbiorowe barbarzyństwo nad niezależnym intelektem i wrażliwem sumieniem.

Synowie profesora Wernera, Stefan i Jerzy, (jeden nacjonalista, drugi komunista), nic sobie nie robią z człowieka, bo im chodzi o... naród i ludzkość. W słowach o narodzie i ludzkości — automaty, powtarzające kilkanaście frazesów, które stanowią całą ich mądrość ideową, w czynach zaś, w życiu prywatnem — indywidua najpodlejszego gatunku. Dobrze przyswoili sobie naukę o celu, który „uświęca środki" — tak, żeby z tej nauki wyciągnąć korzyści osobiste. To też nawet ich „fanatyzm" jest podejrzany, bo zaprawiony ordynarną spekulacją. Imię ich — miljon, choć — oczywiście — nie wszyscy doktrynerzy są tacy. Ale miał prawo zająć się nimi świetny pisarz, nie narażając się na zarzut krzywdzącego uogólnienia. Bo przecież takie kreatury spotykamy na każdym kroku. W satyrze można je zademonstrować i wyśmiać, wiedząc, że nie cała dzisiejsza młodzież sfanatyzowana ma oblicze moralne tak ohydne.

Profesor Werner (rolę profesora gra Adwentowicz wspaniale), osaczony przez własnych synów, przedstawicieli najgorszej zgrai „ideowej", nie może dać sobie z nimi rady. Mówi, przekonywa, gniewa się. Ale te synalki — to kamienie moralne, których nie ożywiłaby nawet lira amfjońska. Stary, szlachetny intelektualista, człowiek wiedzy i serca, słyszy wciąż, jak te młode draby rozpoczynają swoją argumentację od słów: „Z całą ścisłością daje się stwierdzić"... „Z całą ścisłością oświadczam"... A potem — stek bzdurstw, niedorzeczności, formułek przerażająco głupich, przeczących wszystkiemu, co dyktuje rozum, logika, rzeczywistość. Profesor, zmęczony, zgnębiony, pełen niesmaku, postanawia się wyprowadzić. Opuszcza dom, okupowany przez umysłową i moralną hołotę. Lokaj, sprytny opryszek, który wszystkie „wskazania" starego Wernera i jego synów obrócił na swoją korzyść, ostrzega „bezdomnego lekarza":

— Panie profesorze, ostrożnie, tam, na ulicy, idą teraz dwa pochody — jeden prawicy, drugi lewicy... Ostrożnie, bo pan profesor mógłby się dostać w środeczek... byłoby źle...

Na to profesor:

— Muszę przecież jakoś się dostać do pracowni.

Doskonała, pełna przedniego dowcipu, wesoła i smutna sztuka Słonimskiego, kończy się słowami owego lokaja:

— Chyłkiem pod murkiem, panie profesorze, chyłkiem pod murkiem!..

Słowa symboliczne.

„Chyłkiem pod murkiem" chodzić muszą dzisiaj wszyscy ludzie myśli niezależnej, zagrożeni przez istną nawałnicę barbarzyństwa.

„Chyłkiem pod murkiem" — to wskazanie aktualne dla intelektualistów, ludzi wiedzy, rzetelnych pracowników nauki i kultury, upartych idealistów, którzy nie chcą zerwać z elementarnemi nakazami myśli humanitarniej. Tak, tak... Chyłkiem pod murkiem!

Można powtórzyć za Beaudelair'em: „Oh, la tristesse de tout cela"...

Józef Wasowski

HUMOR NIE NA MIEJSCU

Jeden z wymownych znaków czasu: w teatrze im. Stefana Żeromskiego na Pradze zamiast opłaty w gotówce za bilety wstępu przyjmowane są artykuły spożywcze — chleb, jaja, mleko, jarzyny i t. d.

Aktorzy są w nędzy. Chcą jeść. Chwytają się ostatniej deski ratunku. Już na takie pomysły wpadano tu i ówdzie. Artykuły spożywcze zamiast gotówki przyjmowano w kilku teatrach niemieckich.

Ilustrowany Kurjer Codzienny żartuje sobie na ten temat:

„W teatrze tym będzie można słyszeć przy kasie dość osobliwe rozmowy. Jak np.:

— Proszę o dwa miejsca na galerję za 4 wiązki kalarepy.

Albo:

— Całe prosię — proszę o lożę..."

Sądzimy, że niema tu powodu do humoru. Sprawa jest aż nadto niewesoła.

DROGI ROZWOJU FILMU DŹWIĘKOWEGO

(dokończenie)

Ten nowy montaż pozaczasowy głosu i obrazu stwarza nową postać rzeczywistości. Umożliwia on przerzucanie punktu ciężkości estetycznej na obraz lub na głos naprzemian. Najprostszym przykładem będzie ten moment filmu „Dynamit" De Milla, w którym wypadek samochodowy było tylko słychać, obraz stanowił reakcję mimiczną na głos. Oba typy twórczości filmowej mogą stanąć na wyżynie estetycznej, jednakże większe możliwości mieć będzie film syntetyczny. Film stuprocentowy, jak np. „Czemp", albo „Ludzie w hotelu" może osiągnąć walor artystyczny. Oczywiście oba te typy nie dadzą się wyraźnie rozgraniczyć. Film syntetyczny np. filmy Mamouliana („Wielkomiejskie Ulice", „Dr. Jekyll i Mr. Hyde", „Kochaj mnie dziś") będzie również operować stoprocentowemi scenami jako podkładem treściowym, jednakże podkład ten będzie budowany według stylistyki niemego filmu, t. j. montażem. W filmie stuprocentowym montaż zanika wogóle na korzyść ruchu aparatu i mikrofonu (przykład: scena Kringeleina pijanego w numerze hotelowym — „Ludzie w hotelu"). Istotna różnica polega na stosunku autora do tematu. Autor filmu stuprocentowego zapoznaje widza z pewną gotową rzeczywistością, autor filmu syntetycznego buduje nową wymaginowaną rzeczywistość przez montaż jej składników i zmusza widza nie do poznawania, lecz do samodzielnego stwarzania wizji zdarzeń, które nie były inscenizowane.

I. *Film stuprocentowy.*

a) *Analiza teatru.* Film stuprocentowy wyraźnie nawiązuje do teatru, jest kontynuatorem starych form widowiska. Widz w teatrze pozostawiony jest absolutnej bierności wobec doznań estetycznych. Zachować może postawę czynną jedynie w dziedzinie intelektu. Roztacza się przed nim pewna ściśle ograniczona przestrzeń (od strony widowni zamknięta próżnią), w której rozgrywać się mogą zdarzenia tylko w skali ludzkiej. Widz pozostaje nietyle w postawie obserwatora, co podglądacza. Nie ma żadnych innych okazyj do doznawania poza nieuzbrojonym wzrokiem i słuchem. Zdarzenia, które zachodzą przed widzem, stanowią gotowy stan rzeczy, o wielorakim sensie estetycznym, plastycznym przez architekturę i koloryt sceny, słuchowym przez uporządkowanie muzyczne lub polifoniczne głosu, wreszcie uczuciowym i intelektualnym przez ludzki sens zdarzeń, przez sytuację i djalog. Oczywiście wzrok widza błądzi po scenie, jest to jedyna czynność, na jaką sobie widz w teatrze może pozwolić. W chwili wzniosłego monologu obserwuje twarz bohatera, aby zaraz potem przerzucić uwagę na skradający się z za kulis cień innego aktora. Rzeczywistość jest gotowa, można po niej błądzić wzrokiem, ale nie sposób przebić szklanej kurtyny, która zostaje po podniesieniu prawdziwej. Nie można wyodrębnić szczegółów, nie można zbliżyć się, oddalić w miarę estetycznej potrzeby. Dzieją się ludzkie sprawy w ludzkiej skali, w przestrzeni nie dającej się zdeformować (teatr może deformować tylko przedmioty) i w czasie, który idzie dokładnie tak, jak zegarki w kieszeniach tysiąca ludzi. Oczywiście możliwy byłby teatr pozaludzki — teatr brył, skomplikowana maszyna estetyczna, w której typ przestrzeni i czasu mógłby być różny, tem niemniej i czas i przestrzeń zostałyby jednostajne. Ten stan rzeczy ciążył teatrowi jeszcze przed powstaniem kina. Dowodem tego są próby nawiązania kontaktu z widzem, zniszczenia szklanej kurtyny (Pirandello, Jewreinow), wreszcie połączenie sceny z widownią oraz uruchomienie sceny obrotowej.

b) *Analogje filmu stuprocentowego z teatrem.* Film stuprocentowy w podobny sposób odnosi się do tworzywa, jak teatr. Również stawia widza wobec rzeczywistości gotowej, zainscenizowanej. Rzeczywistość ta wprawdzie nie jest ograniczona jak scena, tem niemniej jest jednostajna i objektyw filmowy spełnia tylko rolę przewodnika po obszarze dekoracji, czy krajobrazu. Aby główna atrakcja widowiska, aktor, mogła zachować ciągłą grę, aparat podobnie, jak widz w teatrze, błądzi wzrokiem, prowadzi aktora, jedzie z nim, przejeżdża przez przedmioty ku innym aktorom, czasem ku rzeczom, o ile te z racji sytuacyjnej mają coś do powiedzenia. Zachowana jest tradycyjna jedność czasu, miejsca i akcji. Tyle tylko, że widz ruszył z miejsca, że odniósł się czynnie do zjawiska, ale do zjawiska trójwymiarowego, realnego. Czynnik inscenizacji tu, jak i w teatrze, jest pierwszą sprawą. Zdarzenia są reprodukowane w barwie czarno-białej, na dwuwymiarowej przestrzeni. Zresztą dzięki głosowi, ruchowi aparatu i ruchowi przedmiotu, dzięki wreszcie zapożyczonej z niemego filmu deformacji zjawisk przez kąt widzenia, dzięki śladom montażu (logiczne akcentowanie ruchów aktora przez zmianę zdjęcia) poczucie trójwymiarowości nie ginie. Widz czuje się, jak w teatrze — tyle, że bierze pozornie czynny udział za sprawą aparatu, porusza się w obrębie zainscenizowanych zjawisk, doznaje wrażeń, których treścią są jednak zawsze słowa (djalog) lub zdarzenia ludzkie (sytuacje). Osią sprawy staje się aktor, aktor zyskuje nowe środki ekspresji przez możliwość kinowego wygrania mimiki (zbliżenia), przez możliwość zagrania zbliżeń głosowych (szept). Rezultatem jest nowa postać teatru, teatr kinowy. Zasadniczą jego cechą jest inscenizacja i reprodukcja. Widowisko teatralne nabiera cech trwałości i stawia widza w postawie pseudo-czynnej. Szklana kurtyna przestaje istnieć. Że te możliwości, tradycyjnie usprawiedliwione wiekami widowisk teatralnych, nie idą na marne, najlepszym dowodem jest takie np. widowisko, jak „Czemp" Vidora. Ten stuprocentowy film stoi na wysokim poziomie teatralnym i w grze Jackie Coopera i w literackiej osnowie treści. Wszystko to ma bardzo mało wspólnego z kinem, ale jest łatwiejsze i popularniejsze. W większości wypadków takie widowisko filmowe jest tylko pretekstem dla djalogu, forma jest pretekstem dla treści, a treść pretekstem dla aktora. Główną osobą i sprawą zostaje aktor, nie jego kreacja, a aktor jako sylwetka. Przeżycia widza mają mało cech przeżyć estetycznych. Przeciętny widz z tłumu daje się fascynować „gwiazdom". „Ludzie w hotelu", „Czemp", „Marocco" — wszystkie te filmy mimo walorów są tylko powodem do

ukazania — Elżbiety Bergner, Grety Garbo, Barrymorów, Coopera, Marleny Dietrich. Przewaga tych widowisk wynika po pierwsze z inwazji techniki, która chwilowo zawróciła kino na drogę teatralną, po drugie ze schlebiania publiczności.

II. *Film syntetyczny.*

a) *Założenie estetyczne.* Piękno tkwi nie w rzeczach i nie w świadomości. Piękno tkwi w ustosunkowaniu się świadomości do rzeczy. Jednakże sam ogląd i samo słyszenie nie stanowią sztuki. Głos ludzki jest powodem przeżyć estetycznych jedynie z okazji treści, jaką sobą reprezentuje. Mimika aktora nie może mieć sensu estetycznego, jeżeli nie będzie czegoś wyrażać. Treścią słyszalnego widowiska będą zawsze zdarzenia. Jeżeli zdarzenia te będą tylko okazją do słów, to nastąpi charakterystyczna dla teatru i kina stuprocentowego jałowość treści. Sztuka zaczyna się tam, gdzie treść i forma splątane są i zrośnięte nierozłącznie. Jeżeli formą są mówiący ludzie, a treścią sprawy, o których się mówi, to między formą, a treścią zachodzi dysproporcja. Słowo nie może być echem akcji — musi być samo akcją. Dlatego jeden okrzyk Coopera „ja chcę do Czempa" — jest więcej wart, niż zawiłe monologi ekonomiczne w „Wstriecznym". Ten okrzyk jest gestem — jest częścią nierozłączną widowiska. Słowo — gest, oto pierwszy nakaz filmu syntetycznego w scenach stuprocentowych.

b) *Twórcza postawa widza.* Widz bierny, np. w operze, ma przed sobą gotową przestrzeń, gotowy czas i gotowe zdarzenie. W stuprocentowem kinie to samo. Aparat pozwala mu wprawdzie penetrować wśród zdarzeń i niemal namacalnie sprawdzać konkretność świata ekranu. Lecz twórczość wyobraźni widza ma charakter kombinacyjny, intelektualny. W chwili gdy widzi gotowe zdarzenie, zastanawia się nad jego sensem lub przeżywa je wraz z bohaterem. Są to wszystko bierne przeżycia estetyczne. Montaż, budowa nowej rzeczywistości z fragmentów obrazu i głosu, zmusza widza do czynnych przeżyć estetycznych. W wyobraźni widza buduje się nowa przestrzeń i nowy czas. Jest to przeżycie estetyczne wyższego rzędu, przeżycie twórcze. Widz staje się artystą. Do tego właśnie sprowadza się cała różnica między filmem syntetycznym a stuprocentowym.

c) *Wykorzystanie dźwięku.* Dźwięk towarzyszący obrazowi jest uporządkowany estetycznie (muzyka klaksonów w „Drodze do raju" i koncert na kręgosłupie w „Tańcu szkieletów"). Stąd inwazja muzyki do kina i kina do muzyki. (Dwa przykłady: abstrakcyjny film Fischingera i uwertura do Wilhelma Tella). Odtąd muzyką może być stąpanie po schodach, powitania wymieniane w biurze, lub nawet skrobanie brzytwy. Obrazy zaczynają się układać w rytm głosu („Romans Sentymentalny"). Głos nie wynika wprost z obrazu, lecz dopełnia go i ilustruje. Zjawia się wspomnienie słuchowe i wizja słuchowa. Cisza staje się również czynnikiem estetycznym. Odtąd i ciemność ma rację bytu. Rzeczywistość rozszerza się wgłąb psychiki widza. Treść nie może teraz być czemś niewspółmiernem z formą. Stały się jednością. W „Człowieku którego zabiłem" przed knajpą stoi Barrymore i wydaje mu się, że słyszy kroki maszerujących nóg żołnierskich. W tym przykładzie treść nie da się oddzielić od formy.

Sztuka osiąga nowe możliwości. Widz staje się artystą, cała rzeczywistość tworzywem. Czy można marzyć o tem, że rozwój kina pójdzie tą drogą? Niestety estetyka jest dla filmu zagadnieniem bardzo drugorzędnem. Wykładniki przeżyć społecznych będą zawsze degenerować poziom widowiska, dopóki same nie staną się świadomą tego widowiska treścią.

Eugenjusz Cękalski

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Z niesłychaną pewnością siebie prezydent Roosevelt zawiadomił Europę przez orędzie wystosowane do konferencji londyńskiej, że tylko on jeden posiada sekret zbawienia świata. Kurs waluty taki lub inny to — zdaniem prezydenta St. Zjednoczonych — rzecz mało ważna; tylko zrównoważenie budżetu i możność płacenia długów uważa p. Roosevelt za czynniki ważne dla pomyślnego rozwoju gospodarczego.

Tkwi w tych definicjach przedewszystkiem ostra aluzja pod adresem Europy nie płacącej długów Ameryce. Prezydent Roosevelt jest wraz z dużą częścią społeczeństwa amerykańskiego przekonany, że rzuca Europie nowe słowa, niczem misjonarz głoszący poganom dobrą nowinę.

Chcemy zastąpić — pisze on w tejże deklaracji — stare fetysze czyli t. zw. bankierów międzynarodowych.

Czem chce prezydent Roosevelt te fetysze zastąpić, to już zostaje jego tajemnicą. Czy przez zniżkową huśtawkę dolara chciał podważyć istnienie wszelkiego pieniądza na świecie i zniszczyć w ten sposób najgorszego fetysza? Ależ nie! Najlepszym przykładem przywiązania prezydenta Roosevelta do fetyszów jest niezmienne stanowisko Ameryki w sprawie długów wojennych. Skoro zwalać fetysze i przebudowywać strukturę finansów świata, to trzeba było zacząć od radykalnego zmazania gąbką całego rachunku długów wojennych. Wzniosłe hasła walki z fetyszami Ameryka ma na eksport dla innych, dla siebie rezerwuje starodawnego bożka — dług wojenny ze wszystkiemi odsetkami i bodaj że karami za zaległość.

Szef rządu włoskiego Mussolini wyznał niedawno w jednym z artykułów, że wczytuje się z zaciekawieniem w książkę prezydenta Roosevelta p. t. „Looking forward" („Spojrzenie w przyszłość") i z uznaniem widzi w niej zasadę interwencjonizmu państwowego na polu ekonomji. Bez tego obecnie ani rusz: Państwo musi troszczyć się o całość, ograniczając prawa jednostki. Benito Mussolini zwraca uwagę, że Roosevelt nie jest pełnym faszystą, bo toleruje wolność strajków i lokautów, nie zlikwidował całej struktury politycznej dawnego państwa.

Czytając te uwagi Mussoliniego o książce Roosevelta ma się wrażenie, że sam szef władzy Stanów Zjednoczonych nie zdaje sobie sprawy z pomysłów i planów, które chciałby urzeczywistnić, tak, jak nie ocenia należycie, czem ma być konferencja londyńska, ani jakie wrażenie wywrze jego ostatnia deklaracja.

Szefowie rządów, biorący na siebie rolę losu, mają w tej chwili jeden tylko sprawdzian, jeden termometr stanu rzeczy: ilość bezrobotnych.

Od pewnego czasu obserwujemy zaciekłe sztucznie obniżanie rtęci na tym termometrze w... Stanach Zjednoczonych i w Niemczech.

Prasa amerykańska, oddana Rooseveltowi co pewien czas reklamuje jakiś inny stan, w którym rzekomo bezrobocie rekordowo obniżyło się, te wyniki sumuje się, tą drogą znikają miljony bezrobotnych. Tak samo i w Hitlerji, od początku władzy „pięknego Adolfa" i jego przyjaciół, miało rzekomo zmniejszyć się bezrobocie o miljon głów i stanąć niżej pięciu miljonów.

Nie budzą jednak nigdzie wiary te reklamowe cyfry i nasuwają zawsze na myśl stary dowcip o tem „dlaczego jest tak źle, kiedy jest tak dobrze".

*

Zapytany niedawno, jak długo będzie trwać Hitler, znakomity publicysta niemiecki, obecnie na emigracji w Paryżu, Georg Bernhardt odpowiedział:

— Jeżeli nie zajdzie cud, bardzo długo. Tak długo, dopóki znajdzie się jeszcze coś w Niemczech do niszczenia, kruszenia i rzucania masom. Ponieważ w

Niemczech jest jeszcze dużo pokarmu dla ducha zniszczenia, więc Hitler pozostanie jeszcze długo".

Pogląd byłego redaktora naczelnego *Vossische Zeitung* b. króla publicystów, wydaje się w zasadzie słuszny, ale czy doprawdy jeszcze tyle jest do niszczenia w Niemczech?

Po żydach i marksistach wszelkich odmian przyszła kolej na niemiecko-narodowych, Stahlhelm, ludowców bawarskich, ewangelików, katolików, zakon Młodo - niemców i t. p. Wszystko to ginie, zapada się, jak sądzą hitlerowcy w nicość, a prawdopodobnie pod ziemię i nad wszystkiem rozciąga się, jak chce p. Goebbels, stalowy szkielet nacjonal-socjalizmu, który wrosnąć ma w państwo.

Szef propagandy Hitlera jest dumny z dokonanego dzieła: faszyzm włoski w ciągu 2 lat dopiero osiągnął wyniki, które nacjonal - socjaliści zdobyli po 5 miesiącach. Zadowolenie z siebie, jak widzimy, idzie bardzo daleko, porównanie z faszyzmem włoskim dla najbardziej bezstronnego świadka nie wypadnie na korzyść brunatnych koszul. Wystarczy wyniki zestawić ze słowami kanclerza, aby ocenić ich ubóstwo we wszystkiem oprócz zniszczenia.

W dn. 1 lipca kanclerz Hitler przemawiał do przywódców partji w Reichenhallu i tam tak określił 4 fazy rewolucji nacjonalistycznej: 1) przygotowanie do walki, 2) zdobycie władzy politycznej, 3) stworzenie całkowitej jedności państwa z partją i 4) rozstrzygnięcie zagadnienia braku pracy.

Pierwsze dwie fazy są zakończone, co do drugiej Hitler czuje jeszcze pewną niedokładność. Jaką, nie mówi, może tu chodzi o wojsko. Faza trzecia właśnie odbywa się: wyrazem osiągania tej „Totalität" jest kasowanie resztek partji p. Hessa.

Wreszcie co do fazy czwartej, wyznaje szczerze kanclerz, że „ona jest dla sukcesu naszej rewolucji decydująca".

To, co zaczyna tu i owdzie dziać się w Niemczech: bunty w poszczególnych szturmówkach i sztafetach, jawne wystąpienie przeciw kanclerzowi 4 b. kapitanów — zjawiska te — dowodzą, że w fazie drugiej i trzeciej pomimo wszechpotęgi partji rządzącej są duże niedociągnięcia, a faza czwarta pomimo fałszywych cyfr, świadczyć mających o zaniku bezrobocia, jest daleka od ideału.

„Arbeiter Zeitung" wiedeńska zwraca uwagę, że pracę otrzymały głowy partji, wciskając się na stare i nowe urzędy, ale nie otrzymała pracy masa, która stanowiła o sile i zwycięstwie przewrotu partyjnego. W tych warunkach stalowy szkielet stać się może prędzej, niż ktoś mógł by przypuszczać, kościotrupem bez nóg.

Gdyby ruch hitlerowski niósł w sobie takie niepowstrzymane twórcze siły rewolucyjne, czyż mogłaby maleńka Austrja tak zwycięsko stawić czoło olbrzymowi, korzystając przecież tylko z moralnej opieki mocarstw zachodnich? Czy dyplomacja będących u władzy hitlerowców w wolnem mieście Gdańsku nie świadczy, że siły rewolucyjne hitleryzmu uderzają już teraz w martwe punkty tam właśnie, gdzie odnosić miały najłatwiejsze zwycięstwa?

Przyczajony do skoku na zewnątrz hitleryzm na skalę międzynarodową, ten, który szkoli i ćwiczy oddziały emigracji rosyjskich pod znakiem błękitnej swastyki na ulicach Berlina, sądzi, że czas jest jego sprzymierzeńcem, sądzi, że byle przeczekać, a wszystko stanie dlań otworem. I to jest właśnie najbardziej kardynalny błąd w pozory rewolucyjne przybranego, reakcyjnego przewrotu w Niemczech.

Czego nie zdobyła tak zwana narodowa rewolucja niemiecka w pierwszych miesiącach swego startu i biegu, tego nigdy już nie osiągnie.

Ruch międzynarodowy, który budzi się, będzie dlań tamą coraz bardziej rosnącą. Zewnętrznym symptomem tej „zawady" jest w dziedzinie stosunków międzynarodowych — osłabienie ostrza paktu 4-ech, odsunięcie w dal podpisania tego dokumentu i wreszcie z inicjatywy Sowietów, a przy czynnym udziale Polski, powstały pakt ośmiu państw wschodnich o określeniu napastnika.

Naturalnie nietylko w tych dokumentach, którym wartość nadaje jedynie realne ustosunkowanie sił, dostrzec można objawy wewnętrznego oporu nowych sił żywotnych przeciw szaleństwom zwycięskiej reakcji nacjonalistycznej. Ale te akty stanowią niewątpliwie wykładnię dojrzewających na świecie sił, wśród których nie zabraknie i odrodzonej demokracji niemieckiej. *St. Gr.*

SEKRET POWODZENIA

Jeżeli restaurator chce, aby jego lokal miał powodzenie, musi przedewszystkiem położyć ogromny nacisk na jakość jedzenia. Pozatem, powinien być zawsze przygotowany na każdy rodzaj publiczności. Ponieważ wiele osób na okres letni przechodzi na jarskie obiady, powinien każdy restaurator być przygotowany z dużym wyborem djetetycznych dań, poza zwykłą kuchnią. Minęły już czasy, kiedy przychodziliśmy do restauracji na kilkugodzinną ucztę z kilkunastu dań. Nasze ruchliwe życie wymaga dobrego lecz przedewszystkiem lekkiego pożywienia.

Polski Monopol Tytoniowy też pomyślał o wymogach swych palaczy. To też fabrykuje obecnie chemicznie odnikotynowane papierosy dla wygody tych palaczy, którzyby chcieli na okres letni odpocząć od nikotyny. Ważna to jest wiadomość dla panów sportsmanów, którym zalecono zmniejszenie palenia lub całkowite zaniechanie palenia na okres treningów.

Obecnie są w sprzedaży odnikotynowane „Ergo", „Egipskie" i „Przednie Egipskie". Każdy inny gatunek można dostać na zamówienie (500 sztuk) za dopłatą jednego grosza od sztuki.

Od administracji

Prosimy Sz. Czytelników o odnowienie prenumeraty za 3-ci kwartał 1933 r.

Sz. Czytelnikom którzy nie nadeślą przedpłaty do dnia 20 lipca r. b., będziemy zmuszeni wstrzymać wysyłkę pisma.

Prenumerata kwartalna — zł. 6 (Konto P. K. O. Nr. 26.630)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu Stanisławowi Z. we Lwowie. Artykuł p. t. „O masonerji", napisany przez Józefa Wasowskiego, zamieszczony był w n-rze 21-ym „Epoki".

Panu Zdzisławowi M. w Częstochowie. Członkowie Związku Nauczycielstwa Polskiego korzystają z ulgowej prenumeraty „Epoki". Zamiast zł. 6 — płacą zł. 4.50 kwartalnie. Wystarczy zawiadomić administrację, że jest się członkiem ZNP.

Pani Janinie K. w Grodzisku. Chętnie drukujemy nowele, ale nie takie. Sądzimy bowiem, że czytelników naszych nie interesują banalne, chociaż „straszliwe" perypetje trójkątów małżeńskich.

Pani Anieli W. w Piotrkowie. Dziękujemy serdecznie. Zawsze najchętniej posyłamy numery okazowe osobom, których adresy podają nam nasi abonenci.

Panu Mieczysławowj G. w Rzeszowie. Nie do druku. Utwór ten nie jest, jak Pan pisze „drastyczny", ale poprostu nieprzyzwoity.

Pani Marji St. w Warszawie. Nie otrzymaliśmy.

Panu Karolowi B. w Łodzi. To kwestja formy. Prosjmy o nadesłanie rękopisu. Zobaczymy.

Panu „Alexowi" w Kaliszu. Artykuł b. dobrze napisany, wywody całkiem słuszne, ale dla czytelników „Epoki" już nazbyt popularne.

Pani Zofji G. w Grudziądzu. Przesłaliśmy autorowi tego artykułu.

KSIĄŻKI NADESŁANE

Dr. Rafał Lemkin, podprokurator Sądu Okręgowego: Sędzia w obliczu nowoczesnego prawa karnego i kryminologji. Skład główny Instytutu Wydawniczego „Bibljoteka Polska". Warszawa 1933.

Marja Dąbrowska: Noce i dnie. Tom 3-ci. Miłość. Część druga. Wydawnictwo Jakóba Mortkowicza. Warszawa 1933.

Stefan Napierski: Rozmowa z cieniem. Powieść. Tow. Wydawn. „Rój". Warszawa 1933.

TREŚĆ NUMERU





REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od godz. 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalna z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WASOWSKI Z.- 451 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3.